

Wybrałem się na koncert w naszym miejskim centrum kultury. Dostępne były jedynie bilety na balkonie, dość oddalonym od sceny. W najlepszych, centralnych rzędach zauważyłem lokalnych włodarzy, samorządowców, urzędników, szefów i inne grube lokalne ryby z grubych lokalnych firm samorządowych. Niby nic, a tak jakoś poczułem się jak chłop wśród szlachty. Ale to nie tylko w moim mieście tak jest. W okolicznej, o wiele większej arenie, było podobnie.

Innym razem wybrałem się do miejskiego amfiteatru na gratisowy koncert jakiejś gwiazdy. Przychodzę i staję jak wryty. Ludzi pełno, miejsca zajęte na maxa, ale pośrodku, od góry do dołu, w najlepszej lokalizacji, niezajęte ławki opasane taśmą z napisami, że to strefa dla vipów. Choć koncert już za chwilę puste, najlepsze ławeczki czekają na przyjazd władców świata.

Wybrałem trawnik, bo było ciepło. Kolega jednak nie zdzierzył i usiadł pośrodku strefy vipów. Na uwagi ochroniarzy stwierdził tylko, że też jest VERY IMPORTANT PERSON, czyli bardzo ważną osobą... Dobrze powiedział i siedział. Miał rację ale najgorsze, że wywołał konsternację.

Szkoda, że wciąż o tym trzeba przypominać. Rację miał Paweł Jasienica, badacz naszych dziejów, pisząc tak:

*Polskie nawyki urzędnicze wywodzą się niestety z wzorców nie kupieckich, nie państwowych i nie szlacheckich nawet, lecz z magnackich. (...) Od dawna istnieje u nas, składnik polskiej krwi stanowi swoista mistyka władzy. Samouwielbienie każdego, kto ją sprawuje w minimalnym choćby zakresie. Szczególnie trudno Polakom pojąć, że władza polityczna to tylko funkcjonariusz społeczeństwa i nic więcej.*

I jeszcze tak:

